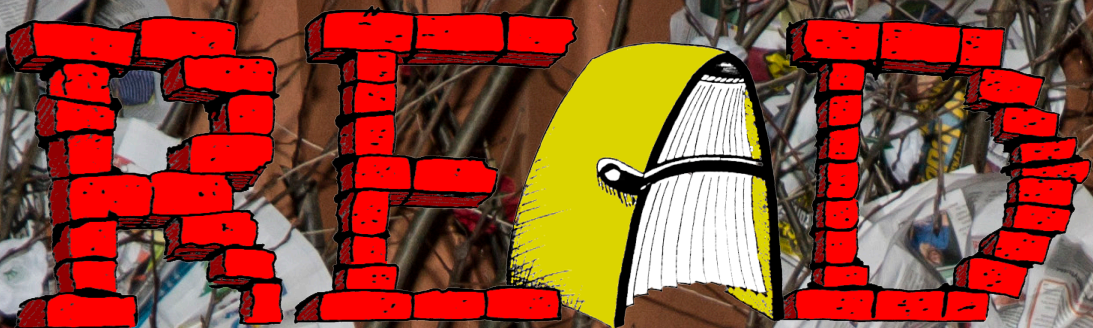




NR 1/2016
CENA 3 ZŁ

TYLKO U NAS:
Newsy:

Czy warto kochać (w) walentynki?

Społeczeństwo:
V Sesja Dziennikarska

Złote myśli nauczycieli

Do odpowiedzi:
prof. Grzegorz Szczepaniak

Zaraż nas swoją pasją:
Cierpliwość, a dokładnie zacięta
determinacja

JAK READ SPĘDZA WIOSNĘ?

"Kwiecień plecień..." - resztki zimowych mrozów przenikają się z ciepłym wiosennym powietrzem, a my odkrywamy tajemnice nauczycieli uczących zupełnie przeciwnych przedmiotów. "Do odpowiedzi!" wywołaliśmy matematyka, Grzegorza Szczepaniaka, a wywiadu udzieliła nam polonistka - Beata Kowalczyk! Grubo* za nami walentynki, zapraszamy do lektury felietonu, w którym szukaliśmy odpowiedzi na pytanie: Czy warto je kochać? Znajdźcie również kilka słów na temat wydarzeń, które odbyły się w ostatnim czasie - Zjazdu Absolwentów, Otrzęsin, Studniówki, a także V Sesji Dzien-nikarskiej. Maturzyści zbliżają się do wyboru uczelni - zachęciliśmy do zwierzeń absolwentów Kopernika, którzy zdecydowali się studiować za granicą. Czy są zadowoleni? - zobaczcie sami! Opowiemy również o Fanaberiach, z którymi spotykają się mieszkańcy Internatu. Zastanawialiście się kiedyś nad tym, dlaczego na holu wisi telewizor? Tę zagadkę też udało nam się rozwiązać! To i wiele więcej znajdziecie na kolejnych stronach gazety. Gorąco polecam!

Redaktor naczelna
Kamila Kowalska

*przyp. red.

LOTERIA

READ

jednorazowe
nieprzygotowanie
do użycia na dowolnej lekcji
prowadzonej przez:

.....

imię i nazwisko nauczyciela

działa na zasadzie „kropki”

Gazetka uczniów I LO im. M. Kopernika
ul. Łopuskiego 42-44, 78-100 Kołobrzeg
tel. 943544633

redakcjaread@gmail.com

www.readakcja.republika.pl

nr 1/2016 nakład 80 egzemplarzy

Opiekun koła: mgr Blanka Góral

Redaktor naczelna: Kamila Kowalska

Redaktorzy: Kamila Kowalska, Marcin Kawik, Ola Grzesik, Sebastian Baranowski, Paula Felton, Weronika Ćwięk, Gabriela Motas, Gabriela Fiutek, Ola Dmochowska, Patrycja Filip

Oprawa graficzna: Dawid Matyja, Michał Maruszewski

Rysownicy: Michaela Warzecha, Dominika Swinin

SPIS TREŚCI:

NEWSY:

Wielki brat patrzy.....	4
Czy warto kochać (w) walentynki?.....	4-5
Kuchenne rewolucje.....	5-7

ZARAŻ NAS SWOJĄ PASJĄ:

Cierpliwość, a dokładnie zacięta determinacja.....	8-9
--	-----

SPOŁECZEŃSTWO:

Studiować se chyba warto, co?.....	10-12
Studniówkowe (r)ewolucje.....	13-14
V Sesja Dziennikarska.....	15-17

WYWIAD Z NAUCZYCIELEM:

Pani Beata Kowalczyk.....	18-19
---------------------------	-------

WYWIAD Z ABSOLWENTEM:

Cegły się nie zmieniają.....	20-22
------------------------------	-------

CZY MNIE JESZCZE PAMIĘTASZ:

16 na 500 równa się Lemingi.....	23
----------------------------------	----

NA KOŁACH WYSŁUCHANE:

Nie chciej niczego, będziesz „spoko”.....	24
---	----

HISTORIA KOŁEM SIĘ TOCZY.....	25
-------------------------------	----

ZŁOTE MYŚLI NAUCZYCIELI	26
-------------------------------	----

DO ODPOWIEDZI:

Pan Grzegorz Szczepaniak	27
--------------------------------	----

Wielki brat patrzy

Ola Grzesik

Od dłuższego czasu na dolnym holu naszej szkoły możemy zauważyć tajemniczy telewizor. Zapewne wielu z was zastanawiało się, co konkretnie ma być na nim wyświetlane. Plany lekcji, zastępstwa, najciekawsze fragmenty z zapisu szkolnych kamer, najnowsze odcinki "Szkoły" czy może oskarowe filmy? Bynajmniej. Sprzęt jest przeznaczony do wyświetlania zdjęć ze szkolnych imprez, takich jak na przykład tegoroczna studniówka. Jednak dopóki nie będziemy świadkami przywrócenia telewizora do życia, nie możemy być pewni, jaki cel tak naprawdę kryje się za udostępnieniem go na szkolnym korytarzu.

Czy warto kochać (w) walentynki?

Kamila Kowalska

Walentynki. Data, którą każdy z nas zna doskonale. W końcu już od połowy stycznia po świecie krążą przerysowane symbole - przepełnione czerwienią i sercami witryny sklepów jednocześnie kuszą i odrzucają. W wirze codziennego pędu do pracy łapiemy obraz wystawowych gadżetów i przypominamy sobie, że niedługo trzeba zacząć szukać prezentu. W końcu do walentynki. Trzeba jakoś okazać swoją miłość...

Zwykle „Kocham Cię” nie wystarczy. Najlepiej, jeśli będzie napisane na gigantycznej czerwonej poduszce w jakimś fikuśnym kształcie. Ewentualnie kubku kawowym. A największe wrażenie z pewnością zrobią dwie figurki, romantycznie spoglądające na siebie plastikowymi oczyma. Najlepiej, jeśli będą to pluszowe misie lub foki – podobno takie są teraz najmodniejsze. Wisienką na torcie będzie kolacja dla drugiej połówki. Ale to nie może być zwyczajna kolacja... Wino, ale tylko czerwone, potrawy w płomiennych

odcieniach burgunda, pełne tajemniczego afrodyzjaku, a na deser tort w kształcie serca lub jabłko z wyrzeźbionym wyznaniem. Do tego nastrojowa muzyka, która z odbiorników radiowych płynie od tygodni. Trzeba przecież poczuć klimat walentynek.

Tylko czy między dostawianiem kapci z napisem „Kocham Cię” i przeżywaniem truskawkowego tortu w kształcie serca nie powinno być coś jeszcze? Czy to składające się z dwóch słów zakłęcie ma wartość, kiedy jest napisane na kaptach?

I w końcu: czy to zakłęcie w ogóle jest czegoś warte? Powtarzamy je niemal codziennie, automatycznie odpisujemy na SMS-y. Aż dziwne, że najnowsze modele iPhone'ów nie podają jeszcze wzorów wiadomości miłosnych, nie trzeba by było pisać tych (aż!) dziewięciu liter.

Kiedy mówimy to za pierwszym razem, czujemy się wspaniale, cudowne emocje roznoszą nas od środka, ale... później staje się to coraz bardziej mechaniczne. Zamieniamy więc proste słowa w



piękne metafory, wynosimy drugą połówkę pod niebiosą niczym królową angielską, mówimy najbardziej poetycko, jak potrafimy (tak, to właśnie ten moment, w którym przydaje się znajomość antologii poezji poznanej w liceum...) Nasza druga połówka jest wniebowzięta, my też, ale trwamy w związku coraz dłużej, na pierwszy plan bez pytania wkradają się przyziemne obowiązki, a w miłość - rutyna. I całą tę poezję szlag trafia. Znowu wracamy do 9 liter, powtarzanych na „Dzień dobry” i „Do-branoc”, a kiedy je wymawiamy, myślimy o tym, co zjemy na śniadanie. Dzień płynie za dniem, a to wyznanie staje się tak wyświechtane, jak co najmniej mycie

zębów, robienie zakupów czy karmienie psa.

Może warto odejść od tego banalnego schematu. Może warto mówić, że ktoś nas urzeka, czaruje? Wytłumaczyć dlaczego? Przedstawić, co jest w tej osobie intrygującego, dlaczego cieszymy się, że z nią jesteśmy. To niekonwencjonalne, ale jakże piękne. Czy nie piękniejsze niż dwa słowa wyklepywane od lat, przypominające raczej zaciętą płytę niż magiczne, miłosne wyznanie?

Pozwólmij magii wkroczyć do naszego życia. Dajmy jej pole do popisu. Pokażmy, że potrafimy kochać...

Kuchenne rewolucje

Marcin Kawik

Minęło już pięć miesięcy od zmiany właściciela prowadzącego internacką stołówkę. Wszystko stało się z dnia na dzień, tak jakby wiązało się tylko z przeniesieniem jakiejś małej liczby kartonów i szybką wymianą personelu. Było wręcz przeciwnie, zmianę można określić nawet mianem naszej małej rewolucji!

„Zmiany na stołówce zapowiadały się bardzo dobrze aż do wprowadzenia tzw. „talerzówki”. Moim zdaniem bardzo nietrafiony pomysł, tracimy na tym my-mieszkańcy Internatu jak i Pani, która prowadzi Fanaberię. O wiele więcej jedzenia jest teraz wyrzucane”. ~Dominka

Temat zmian na stołówce nie jest mi odległy, bowiem proces zmian oficjalnie rozpoczął się 26 marca 2015r., kiedy to osobiście złożyłem do sekretariatu naszej szkoły pismo-prośbę o interwencję władz szkoły w kwestii internackiego żywienia. Nie jest to czas „obrzucania błotem” poprzedniego właściciela, ale jednak

warto wspomnieć, iż mój rewolucyjny ruch poparło 65 wychowanków internatu, co mogę określić swoim prywatnym sukcesem już na samym początku „boju” o lepsze wyżywienie. Całą sytuację chciałem załatwić pokojowo, czego po części dokonałem. Wielu mieszkańców miało pewne obiekcje co do serwowanego nam wówczas jedzenia. W anonimowej ankiecie, którą przeprowadziłem dzień przed oficjalnym spotkaniem z dyrektorem szkoły J. Skorupińskim, aż 26 osób odpowiedziało, że nie jest zadowolonych z jedzenia serwowanego przez ówczesną stołówkę, a zdania kolejnych 26 osób były podzielone, co świadczy o tym, że jednak coś na rzeczy było. Że nie są to młodzieńcze „fanaberie”. Małe zmiany nastąpiły, wprowadzono pewnego rodzaju różnorodność, ale szkoda, że to wszystko trwało tylko przez chwilę. Rzeczywistość znów powróciła, ale jednak w trochę mniejszym wymiarze, bo przecież bułki były większe, a jedynym zamiennikiem nie były już tylko pierogi- SUKCES!

Pod koniec ubiegłego roku szkolnego już krążyły plotki, iż nasz żywiciel postanawia zrezygnować z serwowania nam jedzenia. Mój wewnętrzny głos, zresztą nie był jedyny, krzyczał „O tak! Zmiany!”. Nic się nie zmieniło aż do końca października, kiedy było już pewne, że od przyszłego miesiąca stołówkę poprowadzi firma „Fanaberia” z siedzibą w Grzybowie. Właścicielką jest kobieta, której doba w pracy to „24 godziny + 8 godzin na sen”, a jest nią p. Sylwia Kwiatkowska. Podczas krótkiej rozmowy dowiedziałem się, iż swoją przygodę z gastronomią zaczęła już w wieku 14 lat, kiedy to pracowała w sezonie u sąsiadów. Wtedy rozpoczęło się jej „uzależnienie” od pracy w gastronomii. Nawet próbowała z tym zerwać, ale po krótkim czasie wróciła do nałogu. Wiadomość o chęci prowadzenia stołówki wcale nie zdziwiła jej rodziny, bowiem pani Sylwia słynie z takich szalonych pomysłów. Jej wsparciem jest mama, która również ma do czynienia z kuchnią. Dlaczego akurat stołówka? Nowe doświadczenie, a poza tym stołówka jest pewniejsza od restauracji- w końcu uczniowie ciągle będą potrzebowali wyżywienia. Jednak raczej przeważała chęć rozwinięcia kontaktów z młodszym gronem klientów, jak sama twierdzi: „nie ma co dzielić ludzi ze względu na kategorie wiekowe, bo przecież ten młody człowiek też ma wiele ciekawych rzeczy do powiedzenia”.

„Uważamy, że jakość posiłków jest nieporównywalna w stosunku do tego co dostawaliśmy wcześniej. Przede wszystkim posiłki, które teraz mamy są zdrowe, świeże oraz posiadają dużo więcej wartości odżywczych. Wielkim plusem jest również urozmaicenie podawanych dań, co niestety nie miało miejsca przy poprzednim właścicielu.” ~Ola i Kinga

Wróćmy już do samej sprawy stołówki. Po przejęciu jej w piątek, rodzina miała tylko weekend na doprowadzenie sali do

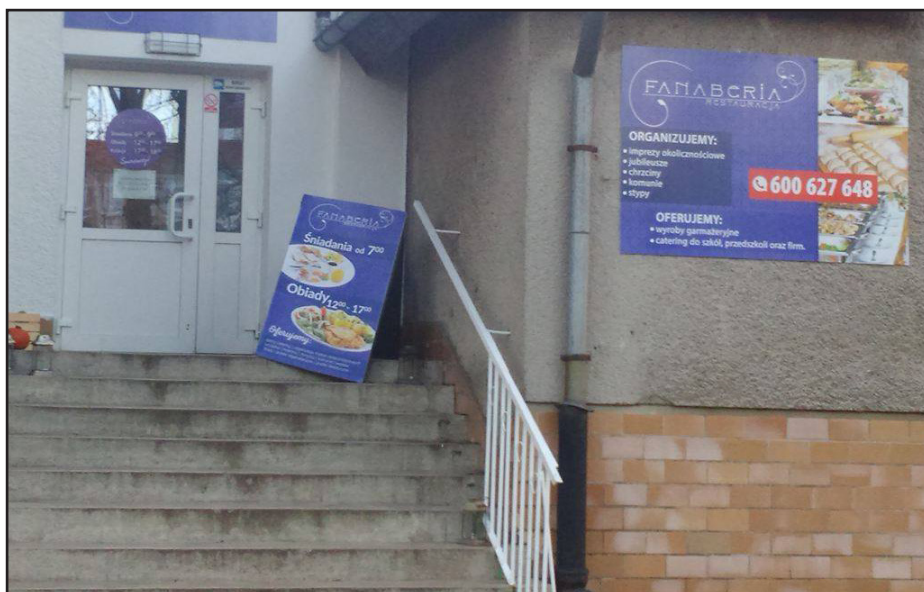
użytku. Nie mam na myśli tego, że pomieszczenie było zdemolowane. Chodziło raczej o atmosferę tego wnętrza. Firany blokowały dostęp światła, całość była ponurym miejscem, w którym raczej nie chciało się jeść. Rodzina szybko wzięła się do pracy, odmalowano ściany na biało, zdjęto firany, wewnątrz stało się dobrze oświetlone, przestronne, a dodatkowo atmosferę ociepliła muzyka, która towarzyszy uczniom przy codziennych posiłkach. Pierwsze wrażenie - jak najbardziej pozytywne! Nikt się tego nie spodziewał. Szefowa jest praktycznie codziennie i z uśmiechem na twarzy wita nas- klientów, życzy nam smacznego! Niby taka mała rzecz, ale od razu człowiek ma lepszy dzień, gdy ktoś z samego rana zaserwuje mu nie tylko dobre śniadanie, ale także szczery uśmiech. Można byłoby rzec, że to wszystko jest „zbyt piękne, żeby było prawdziwe”...

Koniec ferii zimowych przyniósł nieprzyjemną niespodziankę dla mieszkańców Internatu. Przyzwyczajeni do „szwedzkiego stołu” musimy (jak dotąd) zadowolić się tzw. „talerzówką”, która jest składową nieprzewidywalnych działań wszystkich ludzi, którzy są zaangażowani w sprawę stołówki. Faktycznie, nie wszyscy zachowują się zbyt dobrze w stosunku do właścicielki, kiedy to wnoszą jedzenie na śniadanie, by potem zjeść je zamiast wykupionej kolacji. Z drugiej strony myślę, że w porozumieniu moglibyśmy znaleźć jakiś złoty środek na ten problem. Nie było koniecznością wprowadzania restrykcji dla wszystkich wychowanków. „Talerzówka” nie odpowiada 59 uczniom Internatu (spośród 67) i cały czas próbujemy przywrócić stan poprzedni. Niestety, środki negocjacji już powoli się kończą, ale na całe szczęście nie ubywa mi sił by nadal walczyć i namawiać innych do tego, żeby nie bali się mówić tego, co rzeczywiście mają na myśli. W tej sytuacji, wszyscy muszą być po części zadowoleni. Inaczej napięta atmosfera pozostanie na

dłużej, a mi pozostały tylko niecałe dwa miesiące szkoły i później wszystko zostanie w rękach moich kolegów i koleżanek. Najważniejsze jest to, żeby podejmowane decyzje były znane nam jeszcze przed wejściem ich w życie. To z pewnością ułatwi trudną już komunikację.

„Zmiana zdecydowanie na lepsze. Choć myślę, że wszyscy tęsknimy za zamiennikami w postaci pierogów. Jednak smaczne posiłki sprawiają, że nie mamy powodów do narzekania.” ~Kasia

Wiadomo, niemożliwe jest zadowolenie wszystkich, ale gdy robimy coś z pasją i atmosfera w pracy jest miła, to możemy być pewni, że będziemy coraz bliżej tego celu. Jedzenie jest pyszne i różnorodne, ale teraz pozostaje tylko zmienić tę atmosferę. Z młodzieżą naprawdę można się dogadać. Trzeba tylko mieć trochę chęci i wyrozumienia dla „przeciwnika”.



Cierpliwość, a dokładnie zacięta determinacja

Sebastian Baranowski, Sara Stołowska

Często rozmawiając ze znajomymi przypadkiem dowiadywałem się, że żeglują. Za trzecim, a potem czwartym razem zacząłem się wprost dziwić, co takiego kryje w sobie ta dyscyplina sportu. Aby rozwiązać podobne wątpliwości, pomówiliśmy z dwoma „mat-fiz-geami” – Michałem Górnisiewiczem z IE oraz Szymonem Rodziewicz Borowskim z IIE – o ich przygodzie z żeglarstwem.

Kiedy zaczęła się Twoja pasja? Co przyciągnęło Cię do żeglarstwa?

Michał Górnisiewicz: Nie pamiętam dokładnie, kiedy zaczęła się moja przygoda z żeglarstwem. W zasadzie odkąd sięgam pamięcią ono mnie fascynowało. Swoją pierwszą samodzielną żeglugę odbyłem 2 lipca 2008 roku w wieku 8 lat.

Szymon Rodziewicz Borowski: Swoją przygodę z żeglarstwem zacząłem w wieku 8 lat, gdy rodzice zaproponowali mi wstąpienie do szkoły żeglarskiej w Kołobrzegu.

Ile czasu wolnego absorbuje żeglarstwo?

MG: W zasadzie prawie każdą wolną chwilę poświęcam żeglarstwu. Jeśli nie pływak po wodzie, to oddaję się lekturze wszelkiej literatury morskiej.

SRB: Większość swojego czasu na żeglarstwo poświęcam podczas trwania sezonu (w Polsce od maja do października), a poza sezonem chodzę na siłownię. Pływam w klasie Laser. Jej czołowi zawodnicy spędzają na treningach prawie 300 dni, do czego dochodzą jeszcze treningi na siłowni oraz bieganie, itp.

Czy każdy może żeglować? Co jest potrzebne, by cieszyć się tym hobby?

MG: Uważam, że każdy może żeglować, a

jedyne, co jest potrzebne, to determinacja i upór w dążeniu do postawionego przez siebie celu.

SRB: Żeglarstwo, tak jak każdy inny sport, można podzielić na dwie części: rekreacyjną i sportową. Jeśli chcemy pływać sportowo, jedyną słuszną opcją jest zapisanie się do klubu. Najlepiej, aby taki klub posiadał już sprzęt, ponieważ jego cena jest wysoka – na przykład Laser potrafi kosztować nawet 25000 złotych. Dobrym pomysłem jest zacząć pływać we wcześniejszym wieku na Optymiście, który jest małą łódką uczącą absolutnych podstaw oraz przygotowującą do udziału w regatach. Po skończeniu 15 roku życia (albo wcześniej) można przejść na inną klasę – dwuosobową, bądź jednoosobową, gdzie najpopularniejszy jest wspomniany Laser. Ponadto potrzebny jest zapał i samozaparcie. W kwestii rekreacyjnej, żeby wypożyczyć jakąś łódkę na Mazurach lub w jakiegokolwiek innej części Polski, trzeba mieć podstawowy patent żeglarski, ale bez niego i tak można zapisać się do klubu i dostać jakąś kabinową łódkę.

Jakie sukcesy masz na żeglarskim „koncie”? Łatwo je zdobyć?

MG: Uważam, że sukcesy w żeglarstwie jako dyscyplinie sportu, przychodzą bardzo ciężko i są efektem niekiedy wieloletniej pracy. Na swoim żeglarskim koncie w trakcie mojej stosunkowo krótkiej kariery

zawodniczej, w przeciwieństwie do kolegi Marcela, spośród moich większych bądź mniejszych sukcesów wytypowałem te, które najwięcej dla mnie znaczą. Zaliczyłbym do nich: 79. miejsce w regatach NSKO w roku 2010 (Klasa Optymist); 1. miejsce w 31. Regatach o Srebrny Dzwon Polferries (Klasa Optymist), uczestnictwo w regatach klubu żeglarskiego Arka Gdynia (Klasa Laser 4,7); udział w eliminacjach do Ogólnopolskiej Olimpiady Młodzieży w 2015 (Klasa Laser 4,7); 1. miejsce w Regatach o Puchar Komendanta Morskiego Oddziału Straży Granicznej (Klasa Laser 4,7).

SRB: Do lutego ubiegłego roku byłem w klubie w Dźwirzynie, jednak stwierdziłem, że chcę pójść krok dalej i zacząłem współpracować z Akademickim Związkiem Sportowym Uniwersytetu Warszawskiego (AZS UW). Trenowałem z nimi do końca sezonu w okolicach Pucka, Gdyni, Gdańska. Póki co nie mogę mówić o żadnych sukcesach, ale w ogólnych wynikach podskoczyłem o jakieś 15 miejsc, co uważam za dobrą zmianę. Zdobywanie sukcesów nie jest łatwe, wymaga ogromnych poświęceń, powinno się cały czas pływać, żeby nie stracić „czucia łódki”.

Wiążesz swoją zawodową przyszłość z żeglarstwem? Myślisz, że zawsze będziesz żeglować?

MG: Na pewno w mniejszym bądź większym stopniu będę wiązał swoją przyszłość zawodową z żeglarstwem. Mimo wszystko ciężko odpowiedzieć mi w tej chwili na to pytanie w pełnym zakresie.

SRB: Na pewno chciałbym, żeby żeglarstwo było obecne w moim życiu cały czas. Co do kariery zawodowej wszystko zależy od nadchodzącego sezonu, ale myślę, że i tak będę próbował być coraz lepszy na regatach, kto wie, może kiedyś pojedzie na Igrzyska Olimpijskie.

Jakie cechy pomogło Ci wypracować w sobie żeglarstwo? Cierpliwość, kondycję, pewność siebie?

MG: Przede wszystkim w dojściu do tego, co osiągnąłem, pomogła mi cierpliwość, a dokładnie determinacja. Zawsze byłem człowiekiem cierpliwym, a żeglarstwo pomaga mi rozwijać i utwierdzać tę cechę.

SRB: Cierpliwość chyba przede wszystkim – jest potrzebna zawsze. Zwłaszcza gdy wieje mocno i jest zimno, a ty czekasz na rozpoczęcie kolejnego biegu, bo komisja stwierdza, że musi poprawić którąś bojkę na trasie. Albo gdy cały wyścig idzie po twojej myśli, ale wywracasz się z łódką, bo nad nią nie zapanowałeś i w tym czasie wyprzedza cię 30 osób!



Studiować se chyba warto, co?

Paula Felton

Każdy z nas pragnie osiągnąć wielką karierę, zbić kokosy, a do końca życia wylegiwać się na prywatnej wyspie w otoczeniu palm, przejmując się tylko tym, czy koktajl, którego właśnie pijemy, nie wpłynie źle na naszą talię. Wszyscy chcemy tak ŻYĆ. Tylko jak to ZDOBYĆ? Złoty środek nie istnieje, inaczej każdy z nas jeździłby nowym „lambo”... Tymczasem większość wozi się co prawda mercedesem z kierownicą, wartym kilkaset tysięcy złotych, tylko z tą różnicą, że nazywa się on autobusem. I jest publiczny. I zawsze przyjeżdża za szybko, gdy się spóźniasz, za wolno, gdy czekasz na przystanku. Latem jest w nim za gorąco, a zimą za zimno. I jak tu zostać milionerem w takich warunkach?

E D U K A C J A. Aż tak ważna w naszych czasach, czy może wręcz przeciwnie - totalnie zbędna? Czy szkoła może przygotować nas do życia zawodowego, czy lepiej uczyć się tego na własną rękę? Wybór liceum powinien określać drogę, w kierunku, której chcielibyśmy podążać. Jak wiemy, nie zawsze tak jest. „Mat-fiz”, „human”, „biol-chem”? Który z kierunków jest najbardziej przyszłościowy i czy warto zająć się tym, co rzekomo „opłacalne”, czy może lepiej zaryzykować i robić to, co się kocha?

Każdy z nas musi zadać sobie pytanie „Czy to, co teraz robię, sprawia, że jestem szczęśliwy?” Albo „Czy chociaż trochę to lubię?” Trzeba pamiętać, że to wybór na całe życie. Spróbujcie poszukać kilku alternatywnych rozwiązań, spróbować czegoś nowego, może odkryć pasję. Czy coś przez to stracie? Wątpię. Jeżeli wybór liceum okazał się błędem, macie jeszcze jedną szansę, by to naprawić. **STUDIA!** Wszyscy utrzymują, że są one w naszych czasach niezbędne i jednocześnie

nieużyteczne. Po studiach nie ma pracy w zawodzie, ale i jakiejkolwiek pracy bez nich też nie zdobędziemy. Więc może by pójść na takie, które będą nam się podobać, a nie na takie, jakie zasugerowała nam mama, brat, babcia, siostra, chłopak czy koleżanka? A może wcale nie iść, jeśli wcale nie musimy? Może ważniejsze jest portfolio aniżeli papierek? Osoba z zamiłowaniem do sztuki pewnie zanudzi się nad arkuszem liczb i na odwrót. „Co ludzie widzą w tych bazgrołach? Van Gogh? A kto to? Tak dużo kosztuje? Ja bym lepiej namalowała...”

Człowiek świata w ciągu swojego życia zmienić nie jest w stanie, ale może zmienić swój światek tak, aby chociaż dla niego był zbliżony do ideału, sprawiający uczucie spełnienia, szczęścia i spokoju. Sukces opiera się na trzech podłożach. Określeniu, co chce się osiągnąć, połączeniu z pasją i poparciem tego ciężką pracą. Wiadomo, czasem pomaga szczęście, jednak zawsze stoi ono obok worka porażek. Zazwyczaj im więcej porażek, tym jesteśmy bliżej celu. Jednak rzadko kiedy ludzie osiągają coś poprzez przytłumienie, nie znając się na rzeczy, słysząc jednak, że to właśnie TO jest opłacalne i niedługo każdy będzie TO znał! Zrezygnuj prędkiej czy szybciej, gdyż będą się tym męczyć. Warto marnować czas na TO COŚ, jeśli dobrze się w tym nie czujemy i mamy wątpliwości?

„Polska? Fuj. Zero pracy, mierne studia, mało słońca i ogólnie słaby kraj. Wszystkie inne lepsze - wiadomo!” - większość młodych ludzi odpowiada właśnie w ten sposób, gdy usłyszą pytanie: „Lubisz Polskę? Chcesz tu studiować, czy masz zamiar wyjechać?”. Coraz częściej pada również z ich ust odpowiedź, że chcą właśnie opuścić kraj. To temat na osobny

artykuł, niestety. Próbuje przekazać Wam to, że większość ludzi sądzi, że za granicą zazwyczaj jest lepiej, a w Polsce trudno do czegoś dojść. Ile zdań, tyle opinii. Ile żyć, tyle przypadków. Są ludzie, którzy wyjeżdżają, odkrywają siebie na nowo, osiągają wielkie rzeczy i są szczęśliwi, ale są też tacy, co wyjeżdżają, nie mogąc się odnaleźć, wracają z pustymi rękoma. Jednak gdyby nie spróbowali, nie wiedzieliby, czy było warto!

Chcąc wiedzieć, jak to właściwie jest z tymi studiami za granicą, porozmawiałam z dwójgim z kilkorga absolwentów, którzy właśnie za granicę wyjechali bądź wyjechać chcieli, ale coś pokrzyżowało im plany. Marta Kurczak i Damian Pokorniecki! Może niektórzy z Was ich kojarzą? „Mat-fiz-inf”, rocznik 96.

Zaczniemy ogólnie. Kierunek: studia w Danii. Jak się o nich dowiedzieli?: spotkanie z przedstawicielem z firmy Perfect (zajmuje się pośrednictwem między zagraniczną szkołą a studentem), które odbyło się w auli naszej szkoły. Nie będę się rozpisywać, jak można aplikować - wszystko można znaleźć w Internecie bądź wystarczy napisać do mnie, a ja przekieruję w odpowiednie ręce. :)

Pierwszy na ruszt? Damian! Wyjechał do Danii, miasteczka Aarhus. Zaczniemy od kilku pytań. :)

PF: Jak wygląda edukacja w duńskich placówkach? Co z językiem?

DP: Jeśli chodzi o szkołę, to jest super! Atmosfera jest bardzo miła, przede wszystkim jest stresująco. Nauczyciele są świetni i bardzo pomocni. Klasy międzynarodowe i zajęcia po angielsku, na początku słownictwo "zawodowe" może sprawiać trochę trudności, ale łatwo się do niego przyzwyczajaś w dwa miesiące. Zajęcia są prowadzone w mniejszych grupach, jeśli czegoś nie rozumiesz, to pytasz nauczyciela, który zawsze stara Ci

się pomóc. Dużo praktyki, co jest wielkim plusem. Jeśli się o czymś uczymy, to od razu wykonujemy ćwiczenia z tym związane. Teraz na przykład jestem w trakcie robienia projektu zdalnie sterowanego robota z różnymi funkcjami. Musimy wszystko połączyć, zaprogramować, więc jest bardzo ciekawie. Nie na wszystkich kierunkach jest tak, jak mówili - od podstaw. Na przykład u Dominika (brata Damiana) mało było takiego wprowadzania w przedmiot i podstaw.

PF: A życie społeczne? Miasto? Utrzymanie?

DP: Jeśli chodzi o życie, to ciekawie się żyje po angielsku, przede wszystkim – inaczej. Trzeba przywyknąć do życia w innym kraju. Nie jest się u siebie, napisy w sklepach po duńsku, wszystkie urzędy po duńsku lub angielsku. Często trzeba szukać pomocy, bo dostaje się po duńsku jakieś ważne papiery do wypełnienia, z czym trudno sobie poradzić. Cenowo nie jest tak źle, jeśli się nie jest rozrzutnym i łapie się promocje. Trzeba liczyć, że najtańsze mieszkanie, jakie można znaleźć to około 1000 zł od osoby. Z mieszkaniem tu w ogóle jest bardzo ciężko. Jeśli wiesz, że chcesz studiować w Danii, to od razu zacznij szukać lokum dla siebie. I naprawdę można trafić różnie. Za tę samą cenę można dostać ładne mieszkanie, w dobrym miejscu i częściowo umeblowane albo brzydkie, puste, na „zapupiu”. Prawie wszyscy ludzie na ulicy znają angielski, zdarzają się nieliczne wyjątki. Są też bardzo mili. Podoba mi się jak kierowcy autobusu zawsze witają się i uśmiechają albo jakaś babuszka zagaduje coś po duńsku i się uśmiecha, chociaż i tak nie wiem, o co chodzi. I kupuję bułki za 1 koronę, a nie jak mówił profesor M. Muciek, za 20!

PF: A jak z pracą, znalazłeś już jakąś? Czy łatwo tam o nią?

DP: Część moich znajomych już znalazła pracę, ja dopiero jestem w trakcie rozpoczynania poszukiwań, bo samo

załatwianie wszystkich najważniejszych dokumentów trwa dosyć długo, a ja dopiero skończyłem. Ale zarabia się naprawdę dużo, przy zwykłym sprzątaniu czy zmywaniu naczyń można uzyskać w przeliczeniu około 60-70 zł za godzinę.

PF: Wow! To naprawdę sporo. A właśnie, jak z poznawaniem nowych ludzi?

DP: Ogólnie w Aarhus jest dużo studentów, też sporo zagranicznych, więc jest fajnie, bo nie czujesz się osamotniony wśród Duńczyków, co naprawdę bardzo pomaga w oswojeniu się z nowym miejscem.

Na koniec dodał: „Szczerze, naprawdę polecam!” Jak widać z opowiadań Damiana, wszystko wygląda kolorowo i szczęśliwie. Jednak teraz przedstawiał Wam krótką rozmowę z Martą, która z Danii do Polski wróciła już po 2... dniach.

PF: Jak było w Twoim przypadku? Co z mieszkaniem, ludźmi? Skąd w ogóle pomysł studiowania za granicą?

MK: O studiach w sumie dowiedziałam się na spotkaniu w szkole. Wcześniej o wyjeździe nie myślałam, bo uważałam to za bardzo kłopotliwe, wręcz nierealne. Jednak tam przedstawiali wszystko w superlatywach. Wiadomo, Dania najlepsza, studia za darmo, mieliśmy mieć zapewnionych 2 – 3tysiące koron. Gdy pracujesz 10h tygodniowo, otrzymujesz stypendium, które jest w wysokości prawie 6 tysięcy koron. Te studia to tylko praktyka, potem świetna praca, a już w trakcie studiów można liczyć na kontrakty z firmami. Brzmiało świetnie. Tak namawiali i namawiali, że namówili i mnie... Składaliśmy papiery w kilka osób, dostaliśmy się wszyscy. Matura się nie liczy, aż tak trudno nie było. Jednak ja jako jedyna dostałam się do innego akademika. Co tu dużo mówić - p o r a ż k a. Budynek wyglądał jak szpital. Białe ściany, pusto, szaro... Mieszkanie tragedia. W papierach napisane było, że mieszkanie ma 40m², miało może z 8m²... Drogie, sam czynsz wychodził ponad 3tysiące koron, przy czym trzeba było wpłacić kaucję 5 tysięcy zł. Zero jakichkolwiek warunków mieszk-

kalnych! Puste „mieszkanie” bez mebli, Internetu, światła, dziury w ścianach i to w akademiku! Kontrakt o wietrzenie w pokoju! Kuchnia wielkości łazienki, a łazienka taka, że ledwo można było wejść z ręcznikiem. Na dodatek wszystko dzielone z jakimś 26 letnim mężczyzną. Nie wspomnę już nawet, że wszędzie leżały jego ubrania, śmieci i rzeczy osobiste. Próbowaliśmy więc załatwić zmianę lokum. Jednak w każdym urzędzie i na uczelni mówili, że nie mogą nic zrobić, a wszystko można załatwić TYLKO INTERNETOWO. W ogóle się niczym nie przejmowali. Nie mogliśmy nawet znaleźć pokoju w hotelu na noc - przyjechałam z rodzicami, a w akademiku nie było jak się położyć. Okazało się, że wszystko z wyprzedzeniem jest zajęte. Miasteczko ładne, inne. Ludzi nie zdążyłam poznać, więc nie wiem, jacy są. Podczas tego pasma nieszczęść udało mi się zrobić tylko jedną rzecz bezproblemowo...oddać klucze! Wróciłam oczywiście z rodzicami do domu, innej opcji nie widziałam.

Teraz Marta studiuje Fizykę Techniczną na Politechnice Poznańskiej. Pierwszą sesję zaliczyła, więc jest szczęśliwa! Co sądzicie? Mogła zostać, czy dobrze, że wróciła? I co zrobilibyście na jej miejscu? Każdemu może zdarzyć się taka sytuacja, więc warto to przemyśleć, a przede wszystkim, bardzo dobrze zorientować się, dokąd jedziemy i jak to wszystko na miejscu wygląda! Może lepiej napisać do jakiegoś studenta z danej uczelni? Na Facebooku jest dużo grup zrzeszających uczniów. Może warto spróbować, a nie zdać się na zrządzenie losu, które może przysporzyć nam wiele niemiłych niespodzianek?

Życzę Wam dokonywania samych dobrych wyborów. Obyście byli zadowoleni z obranej drogi życiowej i nigdy nie zboczyli w złą, boczną ścieżkę! Albo i zboczcie... Może okazać się o wiele lepsza! Próbujcie odnaleźć siebie i ryzykujcie! Besos!

Zwiedzam świat

Paula Felton

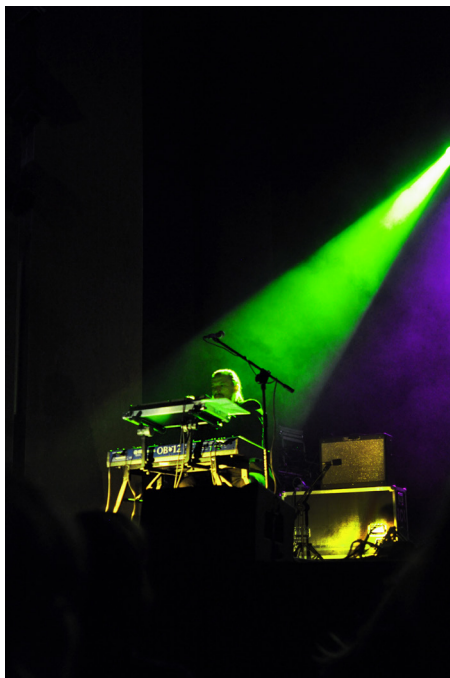
Pięć minut. Tyle zostało do spóźnienia się na wydarzenie, na które czekałam od tygodni. Cztery. Szybkie kroki przechodzące w bieg są coraz bardziej rozsądną opcją. Dwie. No chyba nie zdążymy. Jeden. Nie zdążyliśmy. Czas już się nie liczy, oby jak najszybciej! Wbiegając do środka RCK, w którym odbywał się koncert, zauważam, że nie tylko ja i Kornelia powinnyśmy przestawić zegarki- na szczęście. Drugą uderzającą rzeczą jest względna cisza. Nie zaczęli grać! Ładuję się więc do swojego rzędu blisko sceny, a jedynymi rzeczami, jakie widzę, są pełna sala, rozmarzone twarze zniecierpliwionych ludzi i idealny widok na środek sceny.

EF I EZ ET! Coś Wam to mówi?

Jeśli tak - winszuję, jeśli nie - odsyłam najprawdopodobniej do YouTube'a! Fisz Emade Tworzywo wydali w listopadzie 2014 roku płytę "Mamut", która zdobyła m.in. Złotego Fryderyka w kategorii Album Roku: Elektronika / Indie / Alternatywa, czy miano "Płyty Roku 2014 - Polska" wg Gazety Wyborczej. I choć zespół razem i osobno ma dużo więcej dobrych kawałków, koncert, który odbył się 20 marca był właśnie promowaniem "Mamuta". Bilety sprzedawały się w zastraszająco szybkim tempie.

Zniecierpliwienie udzieliło się więc również i mnie. Chęć usłyszenia ich na żywo była małym marzeniem, które spełnić miałam już kilkakrotnie, ale nigdy nie doprowadziłam tego do końca. Fisz w Kołobrzegu? Chyba jakiś żart - pomyślałam w pierwszym momencie, gdy ujrzałam zaproszenie na to wydarzenie. Jednak widząc Bartosza Wąglewskiego wchodzącego na scenę, Michała Sobolewskiego biorącego w ręce gitarę,

wątpliwości zniknęły i poczułam, że cały stres się ulatnia, a pierwsze dźwięki przyjemnie otulają moje uszy. A potem wszedł on - wokalista. Czysty, spokojny, lekko zadziorny, a przede wszystkim hipnotyzujący. Aura opanowania otaczająca scenę robiła wielkie wrażenie i nie pozwalała oderwać wzroku, chyba że na chwilowe zamknięcie oczu. Ale moment, coś było nie tak. Czy to nie ten utwór? Pomylili



się? Nie - muzyka dyskotekowa lat 80., jak wspomniał później wokalista, to punkt przewodni wykonania dzisiejszych piosenek. Te same, a jednak inne, wzbogacone o nowe dźwięki, były zaskoczeniem. Jak dla mnie - całkiem miłym.

Zabawa - to to, co najbardziej w nich lubię. Nie boją się eksperymentować. Łączą hip-hop z indie rockiem nie widząc w tym nic dziwnego. Nie przywiązują się do gatunkowych szufladek. Lekkość i łatwość, z jaką grali, były urzekające. "Karate", w której czuć bluesa lat 60. przechodził zgrabnie w "Piwnicę", która stylem przypomina mi kawałki New Order. Na twarzach muzyków ciągle jawił się uśmiech podsycany skupieniem. Fisz - mężczyzna o duszy chłopca, który w chmury może patrzeć całymi dniami, łączy w sobie rolę ojca, męża i człowieka, który w swoich tekstach potrafi przekazać najprostsze prawdy, które trafiając w głębi duszy, proszą o kontemplację. Każdy utwór ma w sobie jakiś ładnie ubrany przekaz, z tym fani muszą zgodzić się na pewno. Nostalgiczne "Wróć" czy szorstka "Wojna" przenosiła w inny, melancholijny świat przeszłości każdego z nas, jednocześnie przeplatając się z chęcią do tańca w postaci "Zwiedzam Świat" czy "Pyłu". Bo może naprawdę cała droga prowadzi donikąd, a nieuchronny los

"obróci ciała w astralny pył"?

Wielu ludzi uważa, że są oni na siłę oryginalni, wręcz ciężcy i męczący. Takie zdanie można zmienić widząc megafon w ręku Wągleskiego, zniekształcony przez niego głos, i kolokwialnie mówiąc, "dobrą wczutą" całego zespołu. Połączenie subtelności z wyrazistym dźwiękiem, zabawy suwakami i elektrycznymi przyciskami zmieniała postać rzeczy. Widząc to na żywo, jesteśmy tego częścią. Widzimy, że jest to swobodne i niewymuszone. Sądzę więc, że każdy, który myślał, że będzie to typowy koncert, grubo się pomylił. Czy to poprzez usłyszenie ich nowego singla "Samochody", a może zagrania piosenki Kazika "Spalam się". Było dla mnie dużym zaskoczeniem, że to właśnie ona zainspirowała tych artystów do zainteresowania się rapem i hip-hopem. W ich wykonaniu dało się usłyszeć coś całkiem nowego, przy bezwątpienia znanych słowach. Każdy znalazł to, czego szukał.



Jedynym rozczarowaniem było usłyszenie mojej ulubionej piosenki, "Śladów", tutaj w wersji "zremiksowanej". Choć i ta mi się spodobała, zdecydowanie oczekiwałam spokojnej gry basu, kameralnego klimatu i motywu fortepianu. Moja mina zrzedła szybciej niż sądziłam, a w środku widziałam już, jak po wyjściu krzyczę wokół, że to na co czekałam, mnie zawiodło! Jednak po zakończeniu koncertu, na bis, jakby czytając mi w myślach, zagrali właśnie to, co chciałam. Oryginalną wersję "Śladów". Mogłam już sobie odpuścić narzekanie. Do czego mogłabym się przyczepić? Wszyscy byli zauroczeni albo przynajmniej ja. Po wyjściu słyszałam same pochwały, a wręcz stwierdzenia, że był to koncert sezonu, więc raczej taka opinia nie była uzasadniona tylko moim myśleniem.

Każdy koncert jednego z naszych ulubionych zespołów to nieziemskie przeżycie. Coś, co wcześniej było płaskim dźwiękiem, w danej chwili całkowicie nas otacza. Czasem zawód występem zmienia kapelę z kochanej na znienawidzoną, jednak częściej zachwyty potęguje pozytywne uczucia zachęcając do ponownego sięgnięcia po ich płytę. Tak też było w moim przypadku. I chociaż brakowało mi Justyny Święs czy Katarzyny Nosowskiej, które w "Mamucie" wystąpiły goście, to zobaczenie Piotra Wąglewskiego czy Mariusza Obijalskiego zdecydowanie to zrekompensowało. Wszystkie wątpliwości dotyczące ich twórczości zostały wnet rozwiązane, zostawiając miłe uczucie w brzuszku. Nie mogę doczekać się kolejnego utworu, płyty, koncertu. Powiem jedynie: "Unoszę się jak balon porwany hen przez wiatr"..

Podsumowując: ogólnie koncert konkret - było klawo.



Studniówkowe (r)ewolucje

Ola Grzesik

Wizyta u fryzjera, kosmetyczki, makijażystki, ostatnia przymiarka sukni kupionej pół roku wcześniej (w niektórych przypadkach szytej na zlecenie), upewnienie się, że kolor butów pasuje do kwiatka w butonierce partnera i gotowe – idziemy! Nie nastawiajmy się jednak na sypanie ryżem, ani prezenty do nowego mieszkania. Mowa wszakże o wydarzeniu, które w XXI wieku radykalnie zmieniło swoją postać, i którego nazwa wywołuje u ludzi podniesione ciśnienie, radość, lęk, dumę bądź stres – zależnie od wieku i pozycji w rodzinie.

Pierwszy etap studniówkowych przygotowań zaczyna się od nucenia poloneza z adaptacji filmowej „Pana Tadeusza”. Trzecioklasiści śpiewają, a przerażeni nauczyciele reagują zazwyczaj jednakowo: „O nie, zaczęło się.” Wiedzą bowiem, co niedługo nastąpi...

kończy się jednak happy endem. Z pozycji ucznia sytuacja nie wygląda źle – posłucha dobrej, klasycznej muzyki, umknie mu kilkanaście lekcji, rozwinie umiejętności taneczne. Gorzej natomiast wpływa to na nauczycieli mających klasy blisko miejsca „treningów” bądź posiadających wyczułony słuch. Wedle opinii profesora Kaźmierskiego w naszej szkole powinno się płacić nauczycielom za szkodliwe warunki pracy, ponieważ tortury wiążące się ze zmuszaniem ludzi do słuchania jednego utworu w kółko złamały nawet niejednego więźnia w Guantanamo. Forma trzeciej części przygotowań zależna jest od płci. Mniej jest ona skomplikowana, jeśli chodzi o mężczyzn, którzy zakładają garnitur, układają włosy, perfumują się i są gotowi do wyjścia. Bardziej złożony żywot wiodą kobiety, które już miesiąc wcześniej (co najmniej!)



Etap drugi – próby poloneza. Dział ten zaczyna się od pierwszego pytania: „Proszę Pani, możemy ćwiczyć poloneza?” i tak naprawdę trwa najdłużej ze wszystkich etapów. Co ciekawe, im więcej czasu spędzonego na ćwiczeniu układu, tym mocniejsze przeświadczenie, że go nie pamiętasz. Większość przypadków

muszą umówić wizytę u kosmetyczki, fryzjera, oczywiście nie za wcześnie, by fryzura nie zdążyła opaść, ale też nie za późno, bo spóźnić się też nie wypada. Kwestia sukni, bo sukienka to zbyt banalne słowo, jest zależna od indywidualnych preferencji. Kupiona czy szyta, długa czy krótka,

czarna, biała czy w kolorach tęczy – nie ma wytycznych. Ważne, by nie była wyzywająca. Nie obchodzimy przecież drugiego sylwestra.

W czasach młodości naszych rodziców dylemat dotyczący wyglądu był znacznie mniejszy. Ubiór mężczyzn zmienił się nieznacznie, natomiast kobiet – zasadniczo! Wcześniej kreację stanowiła sukienka w kolorach mundurów funkcjonariuszy ówczesnej władzy – jak nie granatowa, to niebieska, szara bądź czarna. Żadnych wyjątków! Nie chodziło się do kosmetyczki, niektórych jedynie los obdarzył wizytą u fryzjera, a i tak każdy wyglądał pięknie i elegancko. Problem miejsca organizacji wydarzeń również był znikomy; można wręcz pokusić się o stwierdzenie, że go wcale nie było. Studniówki miały bowiem miejsce w szkolnych salach gimnastycznych lub aulach. Uczniowie spędzali wiele

czasu na ich dekorowaniu i przygotowaniu do zabawy. Rodzice natomiast zajmowali się cateringiem. Jak widać, niewiele kiedyś potrzeba było do szczęścia.

Jednak czasy się zmieniły. Drzwi swoje przed młodzieżą otworzyły pięciogwiazdkowe Wodniki, Diwy i Ikary, wszystkie zachęcające pięknie przystrojonymi salami i daniami rodowodem z domowego zacisza pani Gessler. Nasuwa się pytanie, czego powinniśmy się spodziewać za kolejne trzy dekady? Czy ewolucja studniówkowa zbliża się ku końcowi, czy to dopiero początek wprowadzanych innowacji? Odpowiedź nie ma znaczenia, dopóki fantastycznie bawiący się maturzyści zachowują klasę i szacunek do wieloletniej tradycji. Bo, jak pisał Kazimierz Przerwa-Tetmajer: „Nic człowieka tak nie charakteryzuje, jak rodzaj zabawy, której szuka”.



V Sesja Dziennikarska

Sebastian Baranowski, Sara Stołowska
Patrycja Filip

V Sesja Dziennikarska, w bieżącym roku szkolnym wypadająca 25 i 26 lutego, już za nami. Ci, których nie było, niech żałują!

Pod koniec lutego do naszego ukończonego „Kopernika” znów przybyły nietuzinkowe postaci ze świata medialnego, by spotkać się z nami podczas V Sesji Dziennikarskiej. W roku szkolnym 2015/16 skupiliśmy się znów na reportażu.

Głównymi gośćmi byli Katarzyna Zdanowicz, dziennikarka TVN24, znana nam z programu „Polska i świat”, Marcin Kowalski, dziennikarz „Gazety Wyborczej” w Bydgoszczy oraz Mariusz Szczygieł – gwiazda polskiego reportażu (choć sam się tego miana wypiera).

Jak co roku, i tym razem sesja dzieliła się na dwa dni – warsztaty dziennikarskie i galę. Warsztaty odbyły się 25 lutego, w czwartek. Wielkie wsparcie okazał nam hotel Arka Medical Spa, udostępniając na nasze potrzeby salę konferencyjną i zapewniając słuchaczom regularne słodkie przekąski. W Arce zgromadziło się wielu uczniów, można powiedzieć, że z każdej

szkoły powiatu po trochu. Nam jako organizatorom wydarzenia miło było zbierać słowa uznania płynące z ust zaproszonych uczniów i nauczycieli. Wszyscy podkreślali, że przychodzą do nas regularnie, co roku oczekują zaproszenia na naszą sesję. Tego dnia państwo Katarzyna Zdanowicz, Jolanta Rudnik i Marcin Kowalski wprowadzali nas w różne formy reportażu – prasowy, telewizyjny i radiowy. Oprócz tego poznaliśmy działania redakcyjne w urzędzie Gminy Kołobrzeg dzięki panu Tomaszowi Jankowskiemu, który – co ciekawe – był uczniem „Kopernika”! 26 lutego, piątek to dzień kulminacji i podsumowania – uroczysta gala. Wieczorem dnia poprzedniego doszło do drobnych zmian w programie – państwo Katarzyna Zdanowicz i Marcin Kowalski, wspominając dawne lata współpracy, postanowili wystąpić... razem zadając sobie wzajemnie pytania. Nie zaburzyło to jednak porządku wydarzenia i mogliśmy ich



oglądać siedzących na ławeczce w za-
improvizowanym parku pełnym kwiatów
powstałych z gazet oraz słuchać wspo-
mnień, rad, doświadczeń czy wskazówek
naszych gości. Dużą część rozmowy
zajęła kwestia tabloidyzacji mediów –
temat ten bowiem opisał Marcin Kowalski
w całkiem niedawno wydanej książce
„Tabloid. Śmierć w tytule”. Dowiedzieliśmy
się o tragedii Anny Przybylskiej uśmier-
conej za życia przez brukowce oraz
wykorzystaniu sensacji zaginionej Madzi,
która jak się okazało, została zabita przez
matkę. To tylko przykłady wstrząsających
zdarzeń przytoczonych przez naszego
gościa. Wykład pokazał nam również, jak
ciężkie zadanie staje przed reporterami.
Często pracując z pokrzywdzonymi ludźmi,
do których tak ciężko dotrzeć, jak i ich
łatwo zranić. Pokrzepiające jest to, że są
jeszcze pełni empatii dziennikarze jak pan
Marcin, którzy poprzez swoje reportaże
podejmują trud pomocy ludziom bezrad-
nym, skrzywdzonym przez los.

Zawodowe przeżycia Katarzyny Zdanow-
icz również pozostały nam w pamięci.
Nikogo z nas nie dziwi fakt, iż program
telewizyjny powstaje dzięki pracy całego
zespołu. Jest to jednak jedna z tych
prawd, którą ktoś musi nam czasami
przypominać. Na wizji pani Zdanowicz
przedstawia efekt wysiłku wielu ludzi. Jej
praca wcale nie jest łatwa, jak mogłoby
się wydawać, ponieważ nie występuje
według z góry ustalonego scenariusza.
Podczas programu może wydarzyć się
wszystko, a prowadzący musi wykazać
się kreatywnością, gdy dostanie hasło do
tzw. "trzeciego ucha" (słuchawki w uchu)
– „Szyj!”, czyli graj na zwłokę, opowiadaj
coś, zabawiaj widza, podczas gdy my
pracujemy nad przywróceniem ciągło-
ści programu. Dziennikarz prowadzący
podczas wywiadów sam decyduje, jakie
pytania należy zadać, aby wyciągnąć
od zaproszonego gościa jak najwięcej
informacji. Czasami w trakcie wywiadu

na żywo dostaje polecenie wydłużenia
go, podczas gdy tematy do poruszenia
już się skończyły. Zdarza się również,
że to goście decydują o długości rozmo-
wy. Kiedy uznają ją za skończoną – po
prostu wychodzą zostawiając na wizji
skonsternowanych dziennikarzy. Praca ta
jednak, mimo że stresująca i podnosząca
adrenalinę, jest niezwykle ciekawa. Pani
Katarzyna miała do opowiedzenia wiele
zabawnych przeżyć. Wspominała wywiad,
podczas którego nie mogła powstrzymać
śmiechu i inny, z gościem, który pomylił
studia nagrań i trafił do niej na rozmowę.

Po rozmowach rozstrzygnięcie miał
konkurs „To jest temat”, który – podobnie
jak cała V Sesja Dziennikarska – kon-
centrował się na reportażu. Pani Paulina
Żupaniec-Łochocka, dziennikarka TTK,
która ogłaszała wyniki, musiała przerwać
swoje wystąpienie, ponieważ... jej dzie-
ciątko zaczęło płakać. Dało to możliwość
dopiero co przybytemu gościowi, panu
Mariuszowi Szczygłowi, odczytać zwycię-
ski reportaż, należący do Weroniki Ćwięk,
uczennicy naszej szkoły.
Gałę zamknęła najbardziej wyczekiwa-
na prelekcja pana Mariusza Szczygła
pt. "Dlaczego i jak piszę reportaże?".
Gość dnia zdecydowanie porwał pu-
blikę, a pytania w jego stronę się nie
kończyły. Przyrównany przez jedną z klas
do magika, w sposób nieznany zaczy-
rował całą publiczność. Swoją miłość do
pisania odkrył jeszcze w szkole. Pisał tak
dobrze, że jego koledzy zamawiali u nie-
go wypracowania. Łatwość, z jaką to ro-
bił, skłoniła go do wyjazdu na obóz dzien-
nikarski. W trakcie jego trwania napisał
swoją pierwszy poważny reportaż. Powstał
w wyniku polecenia, jakie dostał od jednej
z opiekunek - miał dojechać do miasta,
które mu wskazała i wrócić, nie wydając
przy tym pieniędzy. Nawiązał przez to
znajomość z harcerkami, które w za-
mian za przygotowanie gazetki ściennej,
zapewniły mu kolację i nocleg. Wyprawa

ta była rodzajem inicjacji w ciekawy, choć niełatwy świat reportażu i dziennikarstwa. Niezwykłe, ale bardzo prawdziwe były rady mistrza reportażu, który, bazując na własnych doświadczeniach edukacyjnych, całkiem poważnie podpowiadał, że receptą na przejście przez szkołę jest to, by być naprawdę dobrym w chociaż jednym przedmiocie i stać się ulubieńcem wykładającego go nauczyciela, bo ten zawsze wyjedna łaski dla swojego pupila u reszty grona pedagogicznego. Ci, którzy tego nie słyszeli, niech żałują!

Warto na koniec dodać, że organizacja takiego wydarzenia, jaką jest Sesja Dziennikarska, to niełatwe zadanie. Zaczynamy już nawet pół roku wcześniej obmyślać podstawy, niedługo później w ruch wchodzi telefon, listy i maile. Trasy po całym powiecie w poszukiwaniu sponsorów kończą się zebraniem zadowolona-

jącego kapitału na wydatki sesji. A wigilia wydarzenia naznaczona jest wielogodzinnym przygotowywaniem auli. Podczas organizacji tegorocznej sesji mieliśmy niebywałe szczęście – główny gość V Sesji Dziennikarskiej, pan Mariusz Szczygieł, nie ma zwyczaju odwiedzać szkół – nawet twierdzi, że za tym nie przepada! Dla nas, dzięki znajomościom, zrobił wyjątek. Sesja Dziennikarska to naprawdę duże wydarzenie! Co najlepsze – jest co roku, więc zapraszamy was na kolejną, już szóstą sesję, za rok!



Szkoła, do której się wraca

Rozmawiała: Weronika Cwięk

W Koperniku uczy przedmiotu, który jest niezbędny do tego, aby nie zostać poświadczonym o brak obycia – wiedzy o kulturze i języka polskiego. Jaka jest pani prof. Beata Kowalczyk? Czym zajmuje się w wolnych chwilach absolwentka i nauczycielka w naszym liceum?

Jaki profil wybrała Pani, kiedy zaczynała liceum? Dlaczego?

Wybrałam profil biologiczno-chemiczny. Marzyłam wtedy o tym, żeby zostać lekarzem. Wydawało mi się, że to taki „humanistyczny” zawód.

Jest Pani absolwentką Kopernika. Jak wyglądała szkoła, gdy była Pani jej uczennicą?

Niewiele się zmieniło, a w szczególności nie zmieniło się to, że szkoła była bardzo wymagająca. Nauka trwała wtedy 4 lata, a wymagania były naprawdę wysokie, między innymi dzięki nauczycielom. Patrząc z perspektywy ucznia, był to powód do narzekania. Skarżyliśmy się na to, jak wiele oczekują od nas nauczyciele. Sprawę z tego, że to było dobre, zdałam sobie dopiero na studiach. Miałam styczność ze studentami z większych miast, takich jak Kraków czy Warszawa, którzy mieli lekcje uniwersyteckie, podczas gdy my w Kołobrzegu mieliśmy jedynie profil. Okazało się jednak, że moja wiedza jest równa albo nawet i wyższa niż tamtych osób. Zajęcia nie były dla mnie trudnością, ponieważ wszystkie podstawy wyniosłam z liceum. Teraz starsze pokolenie mówi, że kiedyś było lepiej, że teraz – niejszy poziom licencjatu to ówczesna matura. Może jest to prawdą, ale czasy się zmieniają, młodzież dzisiaj uczy się czegoś innego, inaczej na to patrzymy.

Jakiego przedmiotu nie lubiła Pani najbardziej?

Matematyki. Byłam osobą, która lubiła się uczyć. Arytmetyka i algebra nie były dla mnie problematyczne, ale z trygonometrią zupełnie sobie nie radziłam. Na szczęście miałam cichą umowę z koleżanką. Byłam humanistką, więc pisałam za nią wypracowania, a ona w zamian rozwiązywała moje zadania z matematyki.

Ma Pani wiele różnych zainteresowań: gra Pani na gitarze, zajmuje się rękodziełem, chętnie czyta książki. Posiada Pani duszę artystki.

Zawsze lubiłam zajęcia plastyczne, manualne, wymagające cierpliwości. Te zainteresowania wyniosłam z domu. Wiele nauczył mnie mój tata, a babcia pokazała mi, jak szydełkować, szyć. Jestem jej za to bardzo wdzięczna, bo do dziś lubię robić na drutach i w ten sposób się relaksować. Uwielbiam także gotować, w szczególności dla mojej rodziny. Kiedy jestem zdenerwowana, swoje kroki kieruję właśnie do kuchni. W Koperniku wraz z grupą znajomych ze szkoły podstawowej, utworzyliśmy kabaret i robiliśmy przedstawienia na przerwach. Moi koledzy i koleżanki byli śpiewającą i grającą „paczką”, stąd też potrafię grać na gitarze. Byłam także w zespole wokalnym i chórze.

Które spośród tych licznych zainteresowań pochłaniają Panią najbardziej?

Kocham czytać książki. Jednak najbardziej ubolewam nad tym, że nie mam na nie wystarczająco dużo czasu. Czytam nie tylko po to, aby poznać zawartą

w książce historię, ale także dla przyjemności obcowania ze słowem. Mam swoich ulubionych autorów, na przykład Olę Tokarczuk, której książki mogę czytać cały czas, między innymi ze względu na układ słów. Niedawno czytałam „Księżę Jakubowe” i byłam zachwycona tym, w jaki sposób jest napisana ta książka. Uwielbiam stare kryminały, na przykład Agathy Christie. Atmosfera dawnych czasów w tego rodzaju literaturze jest niesamowita. Często czytam kryminały od ostatniej strony, ponieważ chcę wiedzieć, jak się zakończyła historia. Bywają też takie momenty, kiedy czytam książkę do trzeciej w nocy, bo nie mogę się od niej oderwać. Uwielbiam też wracać do książek. Niektóre czytałam nawet kilka razy.

Potrafi Pani przygotować uczniów do interpretacji obrazów na lekcjach WOK-u. Co sądzi więc Pani o malarstwie abstrakcyjnym?

Coś w nim widzę, ale nie powiesiłabym sobie takiego obrazu w domu. W każdym obrazie coś jest, on zawsze porusza wyobraźnię. Kiedy jakieś dzieło nam się nie podoba, to znaczy, że wywołało w nas emocje, a taki właśnie jest cel malarstwa. Mimo wszystko abstrakcja do mnie nie przemawia.

Czy czuje się Pani spełniona zawodowo?

Raczej czuję satysfakcję. Mocno angażuję się w swoją pracę, lubię uczyć polskiego. Cieszę się, kiedy widzę zainteresowanie w oczach ucznia, a także wtedy, kiedy uczniowie zadają mi pytania. To podbudowuje.



Cegły sie nie zmieniają, czyli Kopernik w oczach absolwentów

Kamila Kowalska

Jak długo istnieje „Kopernik”? Jaką ma historię? Jacy ludzie siedzieli w ławkach, w których teraz my siedzimy? To pytania, które niejednen z nas zadał sobie krążąc korytarzami z czerwonej cegły. Historię naszego liceum czuło się w powietrzu podczas październikowego Jubileuszu 70-lecia. O naszych wrażeniach dotyczących szkoły mówi się wiele – to kontrowersyjny i wszechobecny temat w środowisku uczniowskim. A jak pamiętają go absolwenci?

Pudełko pełne wspomnień

Jerzy Leśniak, jeden z najstarszych absolwentów Kopernika, który w 1950 roku zdawał maturę w auli naszej szkoły, wziął udział w obchodach 70-lecia. Przyszedł, żeby spotkać się z dawnymi znajomymi z klasy, ale też po to, by podzielić się wspomnieniami. Co najbardziej zapamiętał z okresu nauki w „Koperniku”? „Miałem taki epizod na pół roku przed maturą. Wyjechałem na zimowe Mistrzostwa Polski w lekkoatletyce aż do Przemysła, a do szkoły przyniosłem zaświadczenie, że jestem chory. Wszystko byłoby dobrze, gdybym nie zajął na tych zawodach trzeciego miejsca. Moje zdjęcie ukazało się w „Przeglądzie Sportowym” - „nieznany dotąd średniodystansowiec, Jerzy Leśniak, zdobył trzecie miejsce...”. Ówczesny opiekun szkolnego koła sportowego, Stefan Napierała, nie omieszkał na radę pedagogiczną przynieść gazety, aby pochwalić się, że jego uczeń odniósł taki sukces, na co nasz surowy pan dyrektor odpowiedział: „Leśniak? Przecież on złożył zaświadczenie, że jest chory - to jest oszustwo!” Zostałem ukarany obniżonym zachowaniem na świadectwie, na pół roku przed maturą... Do dzisiaj mam zachowane to świadectwo. Ale to nie koniec historii. Na pierwszej lekcji w nowym półroczu zostałem wywołany do tablicy, a byłem jednym z najlepszych matematyków w Koperniku. Pan profesor znalazł jednak tak trudne zadanie z rachunku

całkowego, że sobie nie poradziłem. Usłyszałem: „Siadaj! Kto ma dużo w nogach, ten nie ma w mózgu”. Wziąłem sobie te słowa do serca. Między maturami pisemnymi a ustnymi pojechałem do Szczecina na wojewódzkie biegi narodowe. Biegnę tam bieg na 1000 metrów i biję rekord okręgu. Przed pójściem na dalszy ciąg matur, kupiłem gazetę: „Głos Szczeciński”, w której znajdowała się informacja o mojej wygranej. Po zakończeniu matur dyrektor wręczył mi dyplom przodownika nauki i pracy społecznej, który upoważniał mnie do przyjęcia bez egzaminu na każdą uczelnię w Polsce. Wtedy wyciągnąłem wcześniej zakupioną gazetę z kieszeni i powiedziałem: „Panie dyrektorze, można mieć w głowie i w nogach”. Roześmiał się, uściskał mnie i pogratulował.”

Jak stwierdził Jerzy Leśniak, to był negatywny incydent, który zakończył się pozytywnie. W zjeździe wzięło udział wielu absolwentów z różnych roczników, były jednak dwie osoby, których nie dało się nie zauważyć. Żeby z nimi porozmawiać, musiałam stać w kolejce bardzo długo, bo niemal każdy absolwent pamiętał je z czasów szkolnych i chciał z nimi koniecznie zamienić kilka słów. Mowa o dwóch, emanujących szczęściem bliźniaczkach – siostrach Adamskich. W czym tkwi tajemnica ich popularności? „To wynika przede wszystkim z daru bożego, jakim jest bycie bliźniaczką. W tamtych czasach było to bardzo rzadkie.” Tę cechę siostry Adamskie wykorzystują

WYWIAD Z ABSOLWENTEM

do dzisiaj – po kilkudziesięciu latach od uzyskania świadectwa dojrzałości pojawiły się w Koperniku ubrane identycznie. Co najbardziej zapamiętały z czasów szkolonych?

„Chodziłyśmy do damskiej klasy, w której uczyła pani profesor Berta Pozorska, do której mamy wielki sentyment, uczyła nas szacunku i poczucia godności, a przed klasówkami krzyczała: „dziewczyny...” i kazała podnosić spódnice do góry, by sprawdzić, czy nie ma tam ukrytych ściąg.”

Jedna z siostrze ze szczególnym ciepłem wspomina czasy licealne - „Poznałam w tej szkole Michała Dabiszewskiego – chłopaka, którego nazwisko noszę do teraz. W trzeciej i czwartej klasie byliśmy najsłynniejszą parą w ogólniaku. Pan dyrektor Krawiec zawsze powtarzał: „Adamska, jak będziesz się tak prowadzić za rękę, to matury nie zdasz”.

„To była dobra decyzja!”

Kiedy ma się 16 lat, trzeba podjąć jedną z najtrudniejszych decyzji w życiu. Pewnie każdy z was pamięta, jak dostał wyniki testów gimnazjalnych i zastanawiał się, do której szkoły i na jaki profil złożyć podanie. Ze względu na wysokie wyniki w rankingach liceów i odbywające się z kilkudziesięcioletnią tradycją otręsiny mówi się, że Kopernik to wspaniała szkoła, która uczy i bawi. Absolwenci zawdzięczają mu jednak znacznie więcej...

„Przyjeżdżamy do naszej szkoły, do naszej klasy, do naszej sali, do naszych przyjaciół i do naszych profesorów. To jest miejsce, w którym czułyśmy się dobrze, miałyśmy radość z młodości, do szkoły szło się z uśmiechem.”

„Ta szkoła nauczyła nas miłości do Ojczyzny.”



„Kopernik dał mi świetne przygotowanie do życia, wychowanie, poszanowanie dla ludzi starszych. Do dziś pamiętam krótki wiersz Bolesława Leśmiana, który polonistka nam zadała do nauczania się na pamięć: „Podniosłaś z ziemi zwiędły liść i powiedziałaś spójrz, już jesień, zaczęłaś jakoś wolniej iść. Wiatr cień przez ścieżkę przesiał. Ten liść dał Ci znak, że czas tak krótki, jakby Ci prawo dawać chciał na twe jesienne smutki.”

Wielkie zmiany czy hołd tradycji?

Kopernik to nie tylko nietuzinkowe tradycje - również jego wnętrze wyróżnia się na tle innych szkół. Specyficzny układ pomieszczeń, wystrój sal, a także tajemnicze „zielone”. Jak wiele zmieniło się przez 70 lat?

„Budynek jest ten sam - cegły się nie zmieniają, tylko się starzeją. My urzędowaliśmy jednak tylko na jednym piętrze, pozostałe były nieczynne. Teraz niestety,

ocenię was negatywnie. Boisko jest w gorszym stanie niż za moich czasów. Gdy popatrzę na tę bieżnię, aż serce się kraje.” - przyznaje Jerzy Leśniak.

„Ja pamiętam te okna, siedziałam na nich, tańczyłam w tej sali, gdzie były wszelkie wydarzenia historyczne. Szkoła zawsze słynęła z tego, że panowała kultura dostojności, że uroczystość jest uroczystością, należy się odpowiednio ubrać, wysłuchać, a później dzielić się tym. Jeszcze żyjemy, cieszymy się, że jeszcze możemy się podzielić i pokazać młodym, by się cieszyli”.

Zjazd Absolwentów to wydarzenie, któremu towarzyszyła niezwykła aura przyjaźni i ciepła. Zobaczyć w oczach absolwentów radość z życia, poczucie spełnienia w życiu zawodowym i prywatnym, to było wspaniałe uczucie. Kto wie, może za kilka dekad to my powrócimy do Kopernika i będziemy udzielać wskazówek młodym ludziom?



16 na 500 równa się Lemingi

Sebastian Baranowski

Wielu młodych ludzi otrze łzę wzruszenia z oka na wspomnienie o tym mikrokomputerze. Zapewniał on bowiem nie tylko komfortową pracę, ale przede wszystkim piorunującą, wielogodzinną zabawę. Oto trzeci artykuł z serii o retro-sprzęcie.

Do świetnej zabawy wystarczy 8 bitów. Ten komputer gwarantował świetną rozrywkę dwukrotnie – był bowiem 16-bitowy. Oparty na procesorze Motorola MC68000 z zegarem 7,16 MHz i z 512 kilobajtami pamięci RAM wymiatał od 1987 na rynku amerykańskim, a w latach 90-tych na polskim. Graficzny interfejs Workbench, wygodna klawiatura i mysz, „dżoje”, stylowy monitor oraz wspaniała muzyka. Po prostu – Amiga 500.

Wszystkie nowinki techniczne docierały do Polski z dużym opóźnieniem i – niezależnie od rozwijającej się technologii – robiły w kraju furorę nie mniejszą niż 5-10 lat wcześniej na Zachodzie. Podobny sukces osiągnęła Amiga 500, która długo wyprzedzała osiągnięcia i jakością pecety, wówczas w większości działające pod DOS-em. Nawet obecnie wielu młodych ludzi otrze łzę wzruszenia z oka na wspomnienie o tym mikrokomputerze, zapewniał on bowiem nie tylko komfortową pracę, ale przede wszystkim piorunującą, wielogodzinną zabawę.

Ważniejszymi tytułami z tej kategorii są: Turrican, Myth, Flashback czy Ruff'n'Tumble.

Najbardziej znaną grą na Amigę, która zdobyła mnóstwo odpowiedników na inne platformy, były Lemingi, a właściwie Lemmings. Obecnie nazwa ta ma pejoratywne skojarzenia polityczne, jednak czy jest ktoś, kto nie zna wędrujących gdzie popadnie ludzików? Czy jest ktoś, kto nie kierował nimi, wierząc ich dłońmi otwory i kopiąc dziury, by doprowadzić ich bezpiecznie na metę?

Amiga 500 była dzieckiem firmy Commodore popularnej dzięki komputerowi C64, jednak seria „przyjaciółek” (tyle bowiem po hiszpańsku znaczy nazwa tej maszyny) przyniosła spółce Jacka Tramiela wielki zysk i szczytową sławę, a mnóstwie dzieciaków radość i wspaniałe wspomnienia. Bzyk wbudowanej stacji dyskietek, manewry joystickiem, wizyty u zamożniejszych kolegów – tego nie zastąpi żaden współczesny pecet.



Amiga 500 znana jest w dużej mierze z gier platformowych, a z nich najliczniejszą jest grupa strzelanek. Mimo, iż wszystkie opierały się na podobnym koncepcie – dwuwymiarowy plan, dynamiczni przeciwnicy, poruszanie się w prawą stronę (choć nie było to zastrzeżone) – każda oszałamiała płynną grafiką, pięknym dźwiękiem, a także oryginalnością.



Nie chcij niczego, będziesz „spoko”

Sebastian Baranowski



Wsiadłem do autobusu o zwyyczajowej porze. Tak na dobrą sprawę, owa „pora” była spóźniona o jakieś 5 minut. Ponieważ pojazd był przepełniony, musiałem zadowolić się stanem przy samych drzwiach – dobrze chociaż, że niedaleko od kasownika.

– I pomyśleć, że on kiedyś będzie pracował i wychowywał dzieci! – powiedział pewien uczeń.

– Hubert? Coś ty! To przecież spoko gość! – odpowiedział mu rozmówca.

Jakkolwiek ten fragment nie był wyjęty z szerszej rozmowy, pobudził mnie do zadumy. Czyli miarą jakości społecznej jest nieposiadanie dzieci i brak pracy lub jej możliwie najmniejszy nakład? W takim ułożeniu życie nie ma większego sensu, moim zdaniem. Ale może tylko moim...

Ostatnio zauważyłem, jak bardzo jestem zamkniętym człowiekiem. Można by powiedzieć – zdałem sobie sprawę z tego, że jestem Polakiem. Staję uparcie przy swoim, staram się o egzekwowanie swoich przekonań (choć, mówiąc szczerze, nie mam na tym polu wielkich sukcesów!), nie dbam o nowoczesność. Ponadto rzeczy dość synonimiczne dla mojego wieku – alkohol, papierosy, tatuaże, wymyślne fryzury – nie stanowią dla mnie niczego ciekawego, wręcz przeciwnie: stoję w wyraźnej do nich opozycji. Szczególnie w związku z nimi nie udaje mi się przekonywać do swojego zdania...

Pojawia się jednak pytanie – czy za wszelką cenę konieczne jest przekonywać ludzi do swojego zdania jako nieomylnego? Omylić się niestety bardzo łatwo, ale zawsze można spróbować się

poprawić. Wiem, zabrzmiało to odpychająco patetycznie, mimo to jest w tym dużo prawdy. Nie jesteśmy wszechwiedzący, a każda osoba ma swoje zdanie. Możemy wyrazić swoje zdanie, a to, czy ktoś się do niego przekona czy nie – zależy tylko od niego.

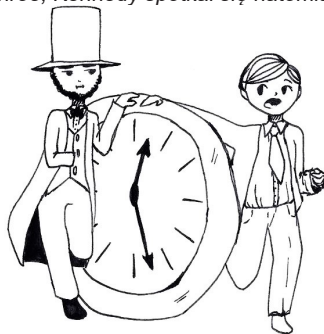
Szkoda, że tak młodzi ludzie za cel życia obejmują bezużyteczność. Ja znam swój cel – moim zdaniem, nie zmarnuję ani chwili, jeśli będę do niego dążył. Nawet, jeśli tylko mi się wydaje, że go znam – zawsze mogę zrewidować swoje poglądy i zastanowić się. Pracowałam nad sobą. Większość młodych woli myśleć o tym, co jest teraz. Bez pracy jednak nie ma mowy, by gdziekolwiek dojść.



HISTORIA KOŁEM SIĘ TOCZY

Czy „historia kołem się toczy?” Mimo tego, że kadencje Abrahama Lincolna i Johna Fitzgeralda Kennedy’ego dzieli aż 100 lat, obaj panowie mają ze sobą wiele wspólnego...

1. Lincoln był członkiem Izby Reprezentantów, tak samo jak Kennedy.
2. A. L został prezydentem dokładnie sto lat przed Kennedy.
3. Pomiędzy zostaniem członkiem Kongresu każdego z nich, również upłynęło równo sto lat.
4. Nazwiska obu panów składają się z siedmiu liter.
5. Zarówno żona Lincolna, jak i Kennedy’ego były krytykowane za swoją rozrzutność.
6. Sekretarz Lincolna miał na nazwisko Kennedy. Odradzał prezydentowi wyjście do teatru, w którym zginął.
7. Sekretarz Kennedy’ego na nazwisko miał Lincoln i odradzał prezydentowi wyjazd do Dallas, gdzie Kennedy został zastrzelony.
8. Kennedy w Dallas poruszał się samochodem firmy Lincoln.
9. Obaj zostali zamordowani w piątek, w obecności swych żon, strzałem w tył głowy.
10. Zabójcy prezydentów nazywali się John Wilkes Booth i Lee Harvey Oswald. Oba nazwiska składają się z 15 liter.
11. Pomiędzy rokiem narodzin Johna W. Booth’a, a L. H. Oswalda minęło dokładnie sto lat.
12. Booth zabił Lincolna w teatrze, po czym schronił się w magazynie. Oswald zabił Kennedy’ego strzelając z magazynu, po czym schronił się w kinoteatrze.
13. Następcą i Lincolna i Kennedy’ego był ktoś, o nazwisku Johnson.
14. Pomiędzy urodzeniem się Andrew Johnsona, a urodzeniem się Lyndona Johnsona, minęło dokładnie sto lat.
15. Na dwa lata przed śmiercią pojechał do miasta Monroe; Kennedy spotkał się natomiast z Marilyn Monroe.



Złote myśli nauczycieli

Prof. B. Kieś: Twój intelekt tak plusuje, że na studiówkę pójdziesz ze szczotką.

Prof. Muciek: Pielęgniarki może są nieobliczalne, ale na pewno POLICZALNE.

Prof. Grabowski: 6 lat nauki matematyki w podstawówce, 3 lata w gimnazjum, 2 w liceum i wszystko jak krew w piach.

Prof. Muciek: No masz... Za szóstkę z EDB, by matkę za 1,60zł sprzedali.

Prof. Suchy: Mówcie mi Kuba i Łaskawy.

Uczeń: Niech Pani będzie taka miła...
Prof. Sienkiewicz: Nie będę. Urodziłam się wredną i taka zamierzam umrzeć.

DZIEKUJEMY!

*Naszym sponsorom, uczniom, nauczycielom,
rodzicom i wszystkim, którzy pomogli w
organizacji V Sesji Dziennikarskiej!
Do zobaczenia za rok!*



K O Ł O B R Z E G



POWIAT
KOŁOBZESKI



Do odpowiedzi:

prof. Grzegorz Szczepaniak

Zaprzyjaźniony z królową wszystkich nauk – matematyką. Pasjonat sportu, pracowity, błyskotliwy... Oto kilka słów o profesorze *Grzegorzu Szczepaniaku.*



Gadżet: zegarek do biegów

Hobby: sport (bieganie, rower)

Boję się: dyktatur

Motto: Just in time

Najbardziej żałuję: że doba ma tylko 24 godziny

Jestem: szczęśliwym człowiekiem

Podróże to dla mnie: czas odpoczynku, zwiedzanie ciekawych miejsc

Zawsze znajdę czas na: relaks

Nie mogę się obejść bez: kalendarza

Wstydzę się: staram się nie wstydzić

Chciałbym zmienić: małe rzeczy

Nienawidzę: lenistwa

Marzę o: stadionie lekkoatletycznym w Kołobrzegu, zobaczeniu mitingu Diamentowej Ligi w Monako (na żywo!)

